

Wojciech Kudyba: Marzenia Tomasza Burka

Tomasz Burek był dla mnie uosobieniem marzeń. I to tych największych – o wielkiej księdze, o arcydziele i wspólnotce, którą ono gromadzi, wspólnotce połączonej wiernością wielkim wartościom. Takiej księgi poszukiwał, odkrywał jej zapowiedzi, ślady, wstępne szkice w książkach ukazujących się na czytelnicy rynku – pisze Wojciech Kudyba w "Teologii Politycznej Co Tydzień" pt. Tomasz Burek pt. krytyk – erudyta

Niepodległy nicości

Jeśli dobrze rozumiem przesłanie jego książek, tak właśnie pojmował kulturę: jako formę i świadectwo ludzkiej niezgody na nicość. A krytykę jako sposób aktywnego udziału w rzeczywistości – jako zaangażowanie w niekończący się spór pomiędzy bytem i nicością. Jak można się domyślać, obydwie te pojęcia sytuował nie tyle w obszarze ontologii, ile raczej – aksjologii. Publiczny niebyt tego czy innego pisarza lub jakiejś książki nie był dla niego rodzajem nieistnienia, lecz rodzajem niesprawiedliwości – rodzajem naszej nieudanej odpowiedzi na wartość lub rodzajem społecznego braku odpowiedzi na to, co na odpowiedź zasługuje. Istnienie i byt są w jego tekstach właśnie drugim imieniem pewnego porządku aksjologicznego, opartego na wyraźnym podziale na dobro i zło. Tendencje do zacierania tej granicy, do ubierania zła w szaty dobra to w jego pisarstwie żywiły w taki czy inny sposób podszyte nihilizmem. I książki, i ludzie są w jego refleksji w sposób

najbardziej pierwotny, niezapośredniczony zorientowani w stronę dobra i zła, w stronę kategorii aksjologicznych, które niejako od początku i w sposób fundamentalny są częścią naszego świata. Stąd właśnie agoniczny rys jego myślenia o zadaniach współczesnego krytyka. Stąd wyrażona we wstępie do *Niewybaczalnych sentymentów* myśl o jego nieuchronnym zaangażowaniu w „bitwie z neonihilizmem jako kulturową modą naszych dni. Modą okropną”.

Największe marzenia I

Marzył o krytyce wielkiej i szalonej w tym sensie, że mającej za nic mody i salony; o krytykach niepodległych przemijającym systemom tabu, to znaczy otwartych na iluminację, na poczucie metafizycznego dreszczu, sięgających – za sprawą literatury – do zasadniczych problemów epoki i dylematów ludzi w nią zanurzonych. Dlatego tak martwiły go „biografie krytyczne pokręcone i połamane przez historię; jedne autorytety, jedne znakomite pióra skompromitowane udziałem w kampaniach głupstwa, drugie skazane na lata przymusowego milczenia i bezczynności; [...] wreszcie utrata wiary w sens uprawiania krytyki”. Dlatego niepokoiły rozmaite odmiany amnezji, procesy nihilizujące wspólną nam tradycję kulturową. Słusznie ostrzegał, że „gdy jej kontury ulegają rozmazaniu, bądź zdeformowaniu, języki natychmiast poczynają się plątać, normy intelektualne – rozchwiewać, idee – mętnieć, znaczenia – wynaturzać, w sumie zaś świat wartości paczy się i dezorganizuje, innymi słowy, kultura obniża swą jakość. Sytuacja podobna sprawia, że i wokół literatury dyskusje nawiązują się z trudem, albo nie nawiązują się wcale, wątki się rwą, zdobycze giną, biblioteki się rozsypują, wszystko jest nieskładne, życie krytyki zaczyna wypełniać zgiełk nieporozumień i – głosy milczenia”. Trudno nie zauważyć, jak bardzo słowa te przystają do otaczającej nas

rzeczywistości. A przecież pojawiają się w książce *Żadnych marzeń*. Szkic, z którego pochodzą, Tomasz Burek pisał pomiędzy latami 1981 i 1983.

Największe marzenia II

Zapamiętałem ją lepiej niż inne. To było w 1988 r., chyba wczesną wiosną. Byliśmy studentami polonistyki, wracaliśmy z Niemiec i na granicy celnik wyciągnął z mojej walizki jego książkę. Dziś widzę to w jakichś dalekich odbiciach, jak przez mgłę tamtego strachu, ale tak było: przeczytał nazwisko autora: Tomasz Burek, tytuł: *Żadnych marzeń*. Wolumin był wydany w Londynie przez Polonia Book Found i miał status zakazanego. Kiedy już to wszystko wiedział, spisał dane osobowe, zabrał książkę, a mi kazał się spakować i wracać do autobusu. „Żadnych marzeń, Panie Kudyba”. Raczej tak nie powiedział, ale kontekst sytuacji tak wybrzmiał. Od tamtej pory Tomasz Burek był dla mnie właśnie uosobieniem marzeń. I to tych największych – o wielkiej księdze, o arcydziele i wspólnocie, którą ono gromadzi, wspólnocie połączonej wiernością wielkim wartościami. Takiej księgi poszukiwał, odkrywał jej zapowiedzi, ślady, wstępne szkice w książkach ukazujących się na czytelnicy rynku. Już chciałem napisać, że tylko takim poświęcał uwagę, ale przecież tak nie było. Wspomnianą bitwę z neonihilizmem traktował serio. Obok szkiców wyrosłych z iluminacji, nie mniej ważną część jego krytycznego dorobku stanowią różnego rodzaju demaskacje. Tropił też te utwory, które kłamały. Które udawały arcydzieło, choć nim nie były i trzeba było to pokazać, nawet jeśli chodziło o dzienniki prominentnego pisarza i historyka literatury, czy nagłośniony, ostatni krzyk krytycznoliterackiej mody.

Paradoksy

Dbając o pamięć i literaturę jako formę walki z kulturową amnezją, angażował się niekiedy w promocję tekstów szaleńczo awangardowych

Łączył w sobie cechy tylko na pozór sprzeczne. Były w nim ogromne pokłady wewnętrznego ciepła, które zresztą wyrażały się też na

zewnątrz, co zawsze z niemałym zdumieniem odkrywałem, gdy się witaliśmy. Ale była też odwaga wygłaszania sądów krytycznych i kategoriycznych. Szanując tradycję, pozostawał otwarty na wszystko, co nowe. Utorował drogę do czytelniczego uznania całkiem sporemu gronu średniego i młodego pokolenia krytyków i pisarzy. Dbając o pamięć i literaturę jako formę walki z kulturową amnezją, angażował się niekiedy w promocję tekstów szaleńczo awangardowych – jak choćby proza Stanisława Czyzcha. Swą uwagę obejmował zresztą nie tylko literaturę, a również w niej samej bardzo szerokie spektrum od historii literatury, krytyki i eseju po rozmaite odmiany prozy i poezji. W jakimś wyższym sensie tych słów pozostawał delikatny i kruchy, a zarazem zadziwiająco wytrwały i silny. Mogło się czasem wydawać, że jest samotny, ale w rzeczywistości zawsze towarzyszył mu krąg tych, którzy mogą być dziś nazwani jego uczniami i kontynuatorami. Chociaż odszedł, wciąż jest więc obecny. Również do niego odnosi się to, co Andrzej Kijowski powiedział kiedyś o kimś innym: „pisarz umarł, a więc żyć zaczyna”.

Wojciech Kudyba

